Nr. 3. Rok I.



Cena prenumeraty kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincyi 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 14 Stycznia 1871.

Redakcja przy ulicy Berlińskiéj Nr. 14.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz & Co.
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

TREŚĆ: Mieszkania nawodne przedhistoryczne przez Dr. K. Libelta. (Ciąg dalszy.) — Pod jednym dachem, powieść W. Skiby. (Ciąg dalszy.) — Opatrzność, wiersz K. Brzozowskiego. — Odczyty towarzystwa ruskiego „Proświty", Jan G. — Z moich wspomnień. O życiu towarzyskiém w Warszawie przez Paulinę z L. Wilkońską. (Ciąg dalszy). — Bądź człowiekiem, wiersz Władysława Bełzy. — Korespondencje z Warszawy, P. i X. — Kronika Tygodniowa. — Przegląd literacki. — Skrzynka do listów.

Mieszkania nawodne przedhistoryczne.

przez

Dr. K. Libelta.

(Ciąg dalszy.)

c) Nawodziska w ogólności.

Nawodne budowle na jeziorze Garda, wskazują na późniejszą epokę i na lud wykształceńszy, bo tam już znaleziono ślady żyta, winogron, owoców szlachetniejszych i nasion najrozmaitszych roślin lądowych, wodnych i bagnistych. W muzeum berlińskiém można się napatrzeć na antikaglia rozmaitych epok.

Pod względem powynajdowanych kości zwierzęcych, troskliwe poszukiwania Rütimejera*) z Bazylei, Hyrtla z Wiednia, Blaziusza z Brunświgu i Steenstrupa z Kopenhagi, wskazały najdokładniéj, że krom wołu pierwotnego, który oddawna już wymarł, mieszkańcy owocześni znali większą część naszych zwierząt domowych, a hodując kozy, owce i bydło znali zapewne użytek masła i séra. Z epoki kamiennéj prawdopodobnie więcéj żyli dziczyzną, bo pozostały szczątki nawet wyginionych już gatunków zwierząt, jak wołu pierwotnego, bawołu, dzika; ale w epoce bronzowéj już karmili się mięsem domowych zwierząt. W tym czasie nie znajdują się już kości lisa, nader powszedniego w perjodzie poprzednim, natomiast pokazuje się pies myśliwy znacznéj wielkości. Kot domowy do najpóźniejszych czasów należy. Zająca w żadnéj epoce nie ma. Widać, że się nim nawodni mieszkańcy brzydzili, jak to bywało w staréj Brytanji, a i dziś jeszcze u Lapończyków. W bronzowéj epoce znikają łosie i bobry, a coraz mniéj pokazuje się śladów niedźwiedzia, jelenia i żółwia lądowego.

Najważniejszém atoli i dotąd nieodgadnionėm pytaniem jest sam cel mieszkań nawodnych. Z jakiego powodu budowali się na wodach z takim trudem i pracą? Czy mieszkali także na lądzie, a jeżeli tam mieszkali, czemu dotąd nie znaleziono szczątków, podobnych do antikaglji nawodnych? Latem i wiosną tłomaczą się takie siedliska najeziorne i narzeczne, ale jakiż cel mogły mieć jesienią wśród wichrów ekwinokcjalnych, i zimą wśród zamieci śniegu, i zamarzłéj głęboko wody? — Oto główne pytania, a możnaby dołączyć do nich wiele innych podrzędniejszych, nad których rozwiązaniem biedzą się archeologowie. Podamy ważniejsze ich domysły, a w końcu wyłożymy nasze własne widzenie rzeczy.

Pomijamy trywjalne powody stawiania nawodzisk, jakoby to były najbezpieczniejsze miejsca, dla bronienia się od dzikich żarłocznych zwierząt, przeciw którym nie mieli ludzie żadnéj obrony; - następnie, że wody stanowiły po owe odległe epoki jedyne komunikacje pomiędzy ludźmi, a wśród odwiecznych borów, pełnych dzikiego zwierza, nie było dróg żadnych. Łatwo docieć, jak nieugruntowane są takie powody. Bo dla komunikacji po wodach, można się sadowić nad ich brzegami, a nie koniecznie na ich powierzchni. Daléj lud dziki i nieukształcony od młodu, łamiący się z różnego rodzaju niebezpieczeństwami, nie znał obawy przed wilkiem i niedźwiedziem, a równie przed niemi był bezpieczny w chacie lądowéj, jak na wodzie, dokąd zimową porą każdy zwierz mógł lodem przechodzić.

Więcéj na uwagę zasługuje zdanie profesora Karola Vogta, znakomitego badacza starożytności i pochodzenia rodzaju ludzkiego, któremu mylnie przypisują teorję, jakoby człowiek z małpiego pochodził rodu. Wedle jego zdania nawodziska nie były mieszkaniami, ale śpichlerzami, czyli magazynami pierwotnych mieszkańców tych okolic. Dziś jeszcze w Skandynawji po

*) Zobacz jego Faunę budowli nawodnych, wydanie Bazylejskie z roku 1861.

nad wyspowémi wyłamiskami Norwegji stawiają śpichrze na polach, do których kupcy zajeżdżają łodziami i ładują. Podobnego celu były starożytne irlandzkie nawodne budowy, zwane krannog, których 46 odnaleziono nowszemi czasy. Były to sztuczne wysepki, stawiane z pni mocnych, w czworogran wbijanych w grunt morski. Wnętrza tych czworogranów zapełnione ziemią, mieszczą w sobie różne przedmioty z epoki kamiennéj, bronzowéj i żelaznéj. Jakkolwiek odmienne, bo nie na palach stawiane, ani na podłogach, ale palami opalisadowane, były jakby skrzyniami do zachowania wszystkiego, co dla mieszkańców miało wartość, a może nawet było przedmiotem handlu przez wymianę. W Szwajcarji na małém jeziorze pod Jekwyl niedaleko Soloturnu, natrafiono na jedyny przykład takiego irlandzkiego krannogu. Wszelako i po zwyczajnych nawodziskach, garnki napełnione różnego rodzaju popalonemi produktami, nasionami, owocami, wskazują na przechowywane w tych miejscach zapasy.

Byćby to mogło. A nie znając społecznych stosunków ówczesnych mieszkańców, nie da się nic, ani za, ani przeciw powiedzieć. Atoli w ogólności zapasy powstałe, są zbyt szczupłe, aby można rozumieć, że dla ich przechowania takie mozolne i obszerne budowy stawiano. Następnie, zanim pojedyncze magazyny stanęły — pojedyncze małego objęcia chaty — trzeba było bić pale i rozległe na nich kłaść podłogi, a więc trzeba było długiéj roboty gromadnéj całéj osady, aby potem temu i owemu postawienie jednego śpichrza ułatwić. To się nie zdaje prawdopodobném.

Franciszek Maurer, który także pisał o budowlach nawodnych, utrzymuje, że je budowali i na nich osiadali przychodni mieszkańcy, kupcy i rzemieślnicy, w ogóle koloniści, może z Fenicji, z Kartaginy, Marsylji, z Grecji i Włoch, co w te strony zawędrowali dla handlu i zysku, i aby się ustrzedz od łupiestwa dzikiéj, pierwotnéj tych okolic ludności, budowali się na wodzie. Przemawia za tém, że na nawodziskach jeziora Garda, taka jest obfitość powynajdywanych sprzętów, ozdób i narzędzi bronzowych, taka elegancja ich wyrobu, takie podobieństwo z wyrobami, które napotykamy w Grecji i we Włoszech, że trudno nie przypuścić, aby tu nie była osiadła kolonja kupiecka, co te przedmioty nawiozła, wyrabiała i niemi handel prowadziła. Równie ozdobne i kunsztowne są wyroby żelazne, ponajdywane w La Têne, na jeziorze Neuenburgskiém, a obok nich nie naleziono ani bronzowych, ani kamiennych przedmiotów. Więc i tu musiała osieść osada cudzoziemców, co była biegła w kunszcie kowalstwa, ślusarstwa, a może i maszynerji.

Dwa te przytoczone przypadki rzeczywiście skłaniają do przypuszczenia objaśnień, jakie nam daje pan Maurer. Tymczasem zastosowanie ich do nawodzisk kamiennéj epoki jest trudne. W Szwajcarji, jak powiada Karol Vogt, nie ma prawie wody, ani torfowiska, które na mokrzadach porosło, gdziebyś nie natrafił na mieszkania palowe. Możnaż przypuścić taką ilość kolonji cudzoziemskich w saméj Szwajcarji? Daléj, jeżeli w późniejszych czasach przybyli z bronzem i żelazem, z czémżeby byli przybyli w epoce kamiennéj? Jeżeli z nauką i religją, to na to się całe osady nie wybierają, ale idzie kilka osób z poświęcenia, a ci sobie takich nawodzisk pewno nie budowali. Jeżeli na jeziorze Garda i na jeziorze Neuenburgskiém były kolonje rzemieślnicze i kupieckie, to i oni nie budowali sobie nawodnych mieszkań, boćby o nich coś w starożytności pisano, a pewnoby i po innych kolonjach z obu stron morza środziemnego podobne nawodziska znajdować się musiały. Widać więc, że je obcy osadnicy zajęli, albo je sobie przez mieszkańców miejscowych budować kazali. Przybyli do obyczaju miejscowego i korzystali z niego.

Nam się wydają budowle nawodne mieć charakter i cel religijny. Powody do tego mamy następujące.

Rozciągłość tego rodzaju budowli zdaje się ograniczać pomiędzy morzem Baltyckiém, przez całe Niemcy dzisiejsze, przez Szwajcarję i Włochy północne. Od zachodu sięgają we wschodnie granice dzisiejszéj Francji, od wschodu nie powiem, żeby sięgały po Wisłę, ale zajmowały zachodnią część dawniéj słowiańskich dzielnic Pomorza, Wielkopolski, Morawji, aż ku Triestowi. Cały ten obszar gruntów zajętym może był pierwotnie przez Celtów, może przez pokolenia Fünów, ale zawsze przez ludność, w któréj musiały być rozwinięte uczucia religijne, bo nie natrafiamy nigdzie śladów dzikiego barbarzyństwa, ludożerstwa, ani tak nazwanych Kannibalów. Sądzę, że u tego pogańskiego ludu we wysokiéj czci musiała być woda, co u ludów północnych, zostających prawie przez pół roku pod naciskiem zimy, śniegów i lodów, łatwém jest do pojęcia. Woda, uwolniona z więzów lodu, pokazująca wartki pęd swych przezroczystych nurtów, w których się tak cudnie za dnia promienie słońca łamią, a nocą blask świetnego księżyca i gwiazd licznych odbija; — woda, unosząca na swym grzbiecie łodzie ładowne ludźmi i towarami, dająca komunikacje między odległemi pokoleniami, podnosząca wilgocią swoją wiosenny i letni urok okolicy — woda ta, w któréj powierzchni świat okoliczny i niebieski się przeglądał, musiała się wydać mieszkańcom północnym wielkiém i cudowném bóstwem, któremu się należała wysoka cześć i poświęcenie. A jedną i drugie sprawowali kapłani. Nie godziło się takiemu bóstwu sprawiać ofiary na lądzie, ale trzeba je było sprawiać na wodzie. Nie uchodziło kapłanom takiego bóstwa mieszkać na ziemi wśród gromad niepoświęconych ludzi, oni powinni służyć bóstwu swojemu na wodzie, a zatém i mieszkać na wodzie.

Otóż całe osady pogańskie, gromadzące się, jak rzecz naturalna, siedzibami swojemi po nad wodą, czy jeziorną, czy rzeczną, czy morską, gromadną, wspólną pracą obrabiali pnie i grube gałęzie drzewne na pale i kłody; pierwsze wbijali w grunt wody, drugie pokładali na palach i uformowawszy obszerną podłogę na igrzyska i ofiary religijne, stawiali na nich chaty, już jako mieszkania kapłanów, już jako ich magazyny, znosząc im wszystko, co im do życia było potrzebném, a krom tego ofiary ze zwierząt i roślin dla samego bóstwa.

Kiedy nastąpiła epoka bronzowa, a po niéj żelazna, przyszły w te strony z nową kulturą, nowe wyobrażenia religijne, może fenickie, może etruskie; powstały nowe bóstwa, nowa cześć. Ludy albo ustępowały z miejsc, które nachodzili cudzoziemcy, albo z nową kulturą przyjmowali nową religję. W każdym razie cel budowli nawodnych się zmienił, dawniejsi ich mieszkańcy ustąpili, a nowi przybysze zajęli ich miejsce, uważając takie odosobnienie od mieszkańców okolicznych za stósowne i korzystne dla siebie.

Dopiéro gdy dzicz Germańska od Skandynawji ruszyła w te strony i wyparła z nich pierwotnych Celtów czy Fünów, burzyła wszystko ogniem, bo im mieszkania na wodzie nie przypadały do smaku. A resztę puścili z dymem do nieba rozkrzewiciele nauki Chrystusa, jako niegodne pamiątki starożytnego pogaństwa. I oto powód zniszczenia ogniem wszystkich tych zabytków budowli nawodnych.

Nie upieramy się, aby taki był początek i taki koniec wszelakich nawodzisk, bo nie posiadamy żadnego faktu historycznego, którymbyśmy domysły nasze poprzeć mogli; ale taki sposób tłomaczenia najlepiéj jeszcze wyjaśnia te liczne przeddziejowe budowy na wodach, ku czemu trzeba było gromadnéj pracy nadbrzeżnych mieszkańców, dającéj się tylko tłomaczyć wspólnym religijnym interesem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

Panna Izydora wbiegła raczéj, niż weszła, giestem dała do zrozumienia, że trzeba drzwi jak najsilniéj zaryglować, i padając na kanapkę zaczęła:

— Wystaw sobie Leosiu!... wystaw sobie Teosiu!... to okropność!... to niesłychane!...

— Co takiego Iziu? — zapytały razem dwa głosy.

— Wyobraźcie sobie... ten człowiek...

W téj chwili dało się słyszeć pukanie do drzwi, na odgłos którego słowa na ustach panny Izydory zamarły.

Panna Teodora chciała pobiedz otworzyć.

— Na miłość boską, nie otwieraj!... to on!... zawołała przejęta do żywego panna Iza.

Najstarsza siostra stanęła jak skamieniała.

— Kto?... co za on?... spytała panna Eleonora.

Panna Izydora położyła palec na ustach i rzekła:

Pst!.. sza!... cicho!... niech pójdzie.

Posłuszne temu wezwaniu starsze siostry, zamilkły i pokładły również palce na usta. I było w pokoju niby trzy posągi milczenia, — cisza panowała, jak makiem zasiał.

Po niejakiéj chwili panna Eleonora odezwała się pierwsza:

— Musiał już chyba pójść... opowiedz-że nam, jak to było?...

— Ale poszedł, poszedł, — dodała panna Teodora, — mów śmiało...

— Wystawcie sobie... — zaczęła panna Iza, — wystawcie sobie...

Nim jednak po raz trzeci powtórzyła: „wystawcie sobie“, dało się słyszeć ponowne, silniejsze jak przedtém sztukanie.

— A to co?... napaść?... — pytały spoglądając na siebie starsze siostry.

— Spytaj przez drzwi... czego chce... — poradziła panna Eleonora.

Rada wydała się pannie Teodorze praktyczną, podeszła do drzwi i zapytała, nie odsuwając zasuwki:

— Kto tam?..

— Czy tu mieszka gospodarz?...

Tutaj... a czego to?...

— Tu jest pokój do wynajęcia?...

— Jest...

- Ano, to chciałbym go obejrzéć.

Trzy siostry spoglądały po sobie. Spojrzenia starszych badały najmłodszą, czy należy otwierać czy nie.

— Otwórzcie... — szepnęła panna Iza, — zdaje mi się, że to nie jego głos.

Dla czego się pannie Izydorze tak zdawało, kiedy głosu swojego prześladowcy nie słyszała, tego objaśnić dokładnie nie potrafimy. Zapewne sądziła, że głos jaki się odzywał z po za drzwi nie wyglądał na dźwięk mowy człowieka, mającego twarz poważną i zadumaną, ale napiętnowaną jakimś złośliwym wyrazem.

Panna Teodora odsunęła zasuwkę i na progu ukazał się nieznajomy prześladowca panny Izy...

Że panna Iza nie krzyknęła, przypisać to należy chyba temu, że jéj głos zamarł w piersiach.

Usiadła na kanapce, siląc się nie patrzeć w stronę drzwi i udawać obojętną.

Nieznajomy przedewszystkiém zapytał czy można się do niezajętego pokoju wprowadzić zaraz nazajutrz.

— Zaraz jutro... — powtórzyła panna Teodora, rzucając okiem na Izę, któréj widoczne pomięszanie jéj siostrzynego wzroku ujść nie mogło, i nie wiedząc co odpowiedzieć powinna, żeby się zastósować do sytuacji; — zaraz... jutro...

Tak jest, — rzekł nieznajomy, — chciałbym się sprowadzić zaraz jutro.

— Ależ Pan jeszcze nie widziałeś pokoju... nie wiadomo, czy będzie dla Pana dogodnym.

— Prawda, więc jeśli można... zobaczę...

— Jeśli można... to jest...

Zająkanéj pannie Teodorze przyszła nareszcie myśl, jak się wywikłać z trudnego położenia.

- Można, można... — dodała prędko, — zaraz... tylko poszukam klucza.

Klucze od niezajętych lokali wisiały na osobnym, specjalnie na to przeznaczonym gwoździu, mimo to panna Teodora wyszła do drugiego pokoju i kręciła się po nim przez chwilę, jakby ich znaleźć nie mogła, a nareszcie zawołała:

— Iziu!... nie mogę znaleźć... możebyś mi pomogła szukać.

Panna Iza pobiegła, nieznajomy pozostał z panną Eleonorą, a dwie siostry znalazły się same i mogły odbyć cichą konferencję.

— Powiedz mi, jak mam zrobić?... pokazać?... — zapytała najcichszym szeptem starsza.

— Pokaż... to nic... odszeptała panna Iza, — on się zamawia tylko... jemu mieszkania żadnego nie potrzeba, już ja wiem...

— A więc?...

— Trzeba go wprowadzić w ambaras... jakby mówił, że za drogo, zniż cenę, jakby chciał odnowienia, przyrzecz... ciekawam jak się z tego wykręci...

— Dobrze... już ja go wytrzymam, — zobowiązała się uroczyście panna Teodora.

Po ukończeniu téj narady klucz naturalnie znalazł się natychmiast i nieznajomy z panną Teodorą poszedł oglądać pokój niezajęty.

W chwili, gdy przechodzili próg, wsunęła się do mieszkania archeologa-gospodarza mała Kazia i pobiegła do panny Eleonory z zapytaniem:

— A co to za jeden?... po co on przyszedł?...

Pannie Izie było tak pilno opowiedzieć wszystko siostrze, że nie zważała, iż opowiadać coś przy Kazi, a ogłosić drukiem i w mnóstwie egzemplarzy po Babiéj wyspie rozrzucić, było zupełnie jedno i toż samo, zaczęła opowiadanie:

— Wystaw sobie Leosiu... to cała awantura!... spostrzegł mnie, jak wychodziłam z kościoła... szedł za mną przez całą drogę.. musiał mnie tak już nieraz odprowadzać, alem tego nie uważała... teraz się zamawia, że potrzebuje mieszkania... któżby się na tém nie poznał?... gdzieby jemu mieszkanie miało być potrzebne!

Daléj panna Iza zaczęła opowiadać wszystkie nadaremne swoje usiłowania, żeby zgubić nieznajomego, ale téj części opowiadania już nie słuchała mała Kazia, tylko czémprędzéj wybiegła z mieszkania, aby ciotce opowiedzieć wielką nowinę.

Panna Petronela nie wysłuchawszy nawet do końca, wiedziała wszystko, i zaraz zabrała się, ażeby tę wiadomość zakomunikować pani Gącińskiéj.

Wejść do jéj mieszkania zdawało się zadługiém poczciwéj cioci, a że okno było otwarte i staruszka robiła pończochę blisko okna, więc się zbliżyła do okna i rzekła:

— Wié pani Gącińska... Izia idzie za mąż.

Była to przejrzana i poprawiona przez pannę Petronelę edycja nowiny przyniesionéj przez Kazię, która także, potrzebując przenieść ją przez prawie całą bramę, w pierwotnéj prostocie i czystości dochować jéj nie mogła.

— O! o!.. — zawołała Gącińska, poprawiając okularów, a to zkąd znowu?...

— Ba! zkąd?... z domu. od ojca...

— Panna Petronela bo zawsze każdéj plotce wierzy... — namarszczyła się staruszka.

— Piękna mi plotka... mąż... ładny, miły, bogaty mąż!.. Tak, tak, pani Gącińska... najmłodsze nawet wychodzą za mąż, tylko ja nieszczęśliwa, o mnie nikt ani pomyślał..

— Otóż masz!... znów panna Petronela rozpoczyna swoje lamenta! Ni ztąd, ni z owąd uroiło się, że Iza idzie za mąż i zaraz z tego rozpacze i beki!... Ja tam w tego męża Izy nie wierzę, póki ich przed ołtarzem nie zobaczę. Kiedy było można, przebierała... teraz poszłoby się, ale już zapóźno... oho! nic z tego nic będzie... dobrze jéj tak...

— Ja nie przebierałam, a i tak nie poszłam, — westchnęła smutnie ciotka Kazi.

— Znowu!... doprawdy złości mnie biorą, ile razy słyszę te narzekania panny Petroneli... nie poszłaś panna za mąż, to i nie poszłaś... stało się!... od tego jeszcze nikt nie umarł.

— Dobrze to mówić pani Gącińskiéj, pani miałaś męża!...

— Co było, a nie jest... — zaczęła zrzędzić staruszka, lecz panna Petronela już odeszła.

Nie wiedzieć czemu, bo tamtędy przechodzić nie potrzebowała, znalazła się koło okien pani Porwiczowéj. Jedno z nich było również otwarte. Wsunęła w nie głowę, lecz nie zobaczyła nikogo, wchyliła się więc, jak mogła najgłębiéj i zawołała:

— Pani! pani!... czy pani jest?

Pani Porwiczowa nadbiegła.

— Wié pani... Izia idzie za mąż...

— Doprawdy?...

— Ale z pewnością... jak amen w pacierzu...

— Winszuję...

— Gącińska powiada, że będzie intrygowała, „żeby to do skutku nie przyszło...

— Czy podobna?...

— Ale jéj się nie uda... nie uda... nie uda...

Taką była czwarta edycja wielkiéj nowiny; z piątą panna Petronela pospieszyła do pani Tuckiéj, ale co z nią mówiła, tego już nie przechowały dzieje.

Tymczasem panna Teodora wynajmowała pokój nowemu lokatorowi. Nieznajomy robił rzeczywiście rozmaite zarzuty. Stosownie do instrukcji, danéj przez pannę Izydorę, potrzeba było zniżyć cenę i przyobiecać parę drobnych reperacji. Panna Iza mówiła, że to wszystko zaambarasuje tylko nieznajomego, któremu lokal wcale nie jest potrzebnym, — ku wielkiemu jednak zadziwieniu panny Teodory, nieznajomy usłyszawszy ostatnie jéj propozycje, rzekł:

— Jeżeli tak, to zgoda... dam pani zadatek i wprowadzam się jutro.

— W takim razie niechże pan będzie łaskaw pofatygować się do nas... moja siostra utrzymuje naszą kasę domową.

— Służę pani.

Dla panny Izy, która w téj chwili właśnie kończyła dopiéro opowiadać swojéj siostrze doznaną przygodę, nie mogło być nic bardziéj niespodziewanego nad wejście panny Teodory z nieznajomym.

Wrażenie, jakie to powtórne zjawienie się prześladowcy wywarło na niéj, wyraziła delikatnéw trąceniem w ramię siostry.

Panna Eleonora uśmiechem dała jéj do zrozumienia, że pojmuje znaczenie tego trącenia, które zastępować miało wyrazy:

— Widzisz, jaki uparty!...

Ogromne już i tak zadziwienie dwóch młodszych sióstr wzrosło do najwyższéj potęgi, gdy panna Teodora zawezwała pannę Eleonorę, aby przyjęła zadatek od nowego lokatora.

Pannie Izie zakołatało serduszko, jak jeszcze nigdy w życiu.

— On widzę na serjo coś myśli, — mówiła w duchu, — wprowadza się tutaj natychmiast, jak mnie ujrzał, to nie może być bez kozery.

Przy odbieraniu zadatku starsze siostry starały się zawiązać rozmowę z nieznajomym. Było to rzeczą bardzo naturalną, że mając z nim mieszkać pod jednym dachem, pragnęły jak najprędzéj przełamać owe lody, jakie dzielić od siebie zwykły obcych ludzi.

Ta rozmowa wyprowadziła na jaw pewną ujemną stronę nowego lokatora. Był to człowiek dość małomówny, posępnego usposobienia, znać było nawet, że musi być zgryźliwy, panował jednak dosyć nad sobą i starał się być grzecznym. Coś tajemniczego, jakaś troska czy boleść ukryta, chmurą zaciężyła na jego czole. Uśmiechał się, znać jednak było że to był uśmiech wymuszony.

Powiedział, że się nazywa Józef Pilski, że był urzędnikiem, ale odziedziczywszy po rodzicach skromny mająteczek, porzucił urząd, żyje z dochodu, namyślając się, jakby było najlepiéj w sposób produkcyjny użyć posiadanego grosza.

Małomówność i posępne usposobienie nowego lokatora zrobiły nieco nieprzyjemne wrażenie na pannie Izie; wzmianka jednak o majątku, z którego bez pracy żyć mógł, zatarła to wrażenie tak dokładnie, że sama nawet panna Iza zdecydowała się wziąć udział w rozmowie i zagadnęła przyszłego sąsiada:

— Czy pan się zajmuje archeologją?...

— Dotąd nie zajmowałem się bynajmniéj tą nauką, — odpowiedział Pilski, — ale mieszkając w domu państwa, sądzę, że będę miał sposobność bliżéj ją studjować.

Było to powiedziane z właściwym nowemu lokatorowi, wymuszonym uśmiechem.

Te słowa, równie jak towarzyszący im uśmiech, mogły były być bardzo łatwo wzięte za impertynencję, ale panny Rękalskie, będąc córkami męża, który sobie tak znakomite imię zrobił pomiędzy archeologami, nie mogły podejrzywać żadnéj zdrożnéj intencji w tém więcéj, jak naiwném odezwaniu się i przyjęły je za najlepszą monetę.

Pilski wkrótce pożegnał swoje przyszłe gospodynie i wyszedł.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, starsze siostry przybiegły do panny Izy z zapytaniami

— Jakże ci się podobał?...

— Ujdzie, — odrzekła z cicha panna Izydora i skromnie spuściła oczy.

Winniśmy oddać sprawiedliwość pannie Izydorze, że dość wyraźne zajęcie, jakie w niéj wzbudził przyszły lokator, nie pozwoliło jéj bynajmniéj zapomnieć o tém, że jéj wydziałem na Babiéj wyspie było pilnowanie domowego porządku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

OPATRZNOŚĆ.

I.

Kto był ów,
Co z jarzma Faraona,
Rój sierot, wdów,
Utulił w swe ramiona?
Kto falą nakrył morza,
Zastępy, co słał wróg?
Tam była ręka Boża:
To ja, to ja wasz Bóg!

II.

Kto to był ów,
Co mur Jerychu zwalił?
Daniela, z lwów
Żarłocznych paszcz ocalił;
I w puszczy, lud wybrany
Płomiennych szlakiem dróg
Wiódł, karmiąc chlebem manny?
To ja, to ja wasz Bóg!

III.

Od wschodu, mord
Kserksesów pędził skrzydłem...
Przed krwawych hord
Świat cały drżał straszydłem;
Kto swobód wsparł jutrzenkę?
Kto w wolnym ludzie, wzmógł
Temistoklesów rękę?
To ja, to ja wasz Bóg!

IV.

Zgrzybiały świat
Cezarów, gdy oszalał,
Ludzkości kwiat
Strumieniem krwi się zalał.
Rzym spełnił zbrodni czarę!...
Kto, jak czerepy, stłukł
Zepsucia tę poczwarę?
To ja, to ja wasz Bóg.

V.

Dziś, w czarnych — noc
Kołysze się całunach.
Tyranów moc
Rozparła się na tronach.
Po krwawéj buja fali;
Nie drżyjcie, bo ją z nóg
Wasz ojciec w proch powali,
Wasz ojciec, ja wasz Bóg!

VI.

Lecz komu sen
Zamarłe zwarł powieki,
I myśli, ten,
Że uścisk trwa na wieki;
Nad biedne kiedy rzesze
Przebudzeń zabrzmi huk:
O! tego ja nie wskrzeszę,
Bom tylko żywych Bóg!

K. Brzozowski.

Odczyty towarzystwa ruskiego „Proświty."

Lwowskie towarzystwo „Proświty" rozpoczęło dnia 21. grudnia szereg odczytów publicznych w głównéj sali ratuszowéj. Odczyty te tém nabierają wielkiéj w oczach naszych wagi, że najpierw są bezpłatne, a więc dostępne dla wszystkich interesujących się sprawą oświaty; powtóre — zarządzone z ramienia wydziału Towarzystwa, reprezentującego dążności i interesa narodowości ruskiéj, jawnością swoją poddają pod sąd krytyki zasady, wygłaszane dotychczas albo w kółkach poufałych i zamkniętych dla ogółu, albo na drodze ulotnych publikacji, za któremi, w razie konieczności, potrzeba było się uganiać, jak wicher po stepie.

Odczyt pierwszy rozpoczął profesor Partycki rozprawą o Rusi Czerwonéj w wiekach VI. VII i VIII. ery naszéj.

Opierając się na zdaniu cesarza greckiego Konstantyna Porfirogenity, który twierdzi, że Wielka czyli Biała Serbja (Sorabia) w w. VII. rozciągała się na północ od gór karpackich i na wschód od Wisły, wyprowadza szanowny prelegent wniosek, że ta Serbja obejmować musiała i Ruś Czerwoną. Nazwę „Ruś" przynieśli z sobą, jak wiadomo, Waregowie w w. IX. Cała zaś przestrzeń między Wisłą, Dniestrem i jeziorem Ilmeniem, stanowiła całość i miano Białéj Sorabji. Posiadanie serbskie tak wielkiéj przestrzeni, a zwłaszcza północnych i wschodnich kończyn, tłomaczy p. P. językiem serbskim, którego wiele bardzo wyrazów, wedle Szafarzyka, dokładniéj da się wyjaśnić li tylko językiem litewskim, fińskim i białoruskim. Lecz niedość na tém. Bezimienny geograf bawarski z wieku IX. wyraźnie wspomina o pewnym narodzie, zowiącym się Zeriwani, od którego wzięli początek i pochodzą wszyscy Sławianie, a którego posiadłości ciągnęły się wzdłuż północno wschodnich kończyn Europy, na wschód od Wisły. Pomijając już geograficzną tożsamość, trudno, aby filolog nie przyznał, że Serby v. Servy, albo Zerwy i Zerivani byli jednym i tym samym narodem. Serbowie dotychczas nawet w podaniach swoich zachowali wspomnienie o pobycie w tych stronach, a wedle słów Konstantego Porfirogenity, za czasów jego Serbowie wyraźnie zeznawali, że pochodzą z kraju „Bojków", a i teraz nawet między Krainą a Stryją mieszka plemię, zowiące się „Pojkami."

Jakież tedy stanowisko w téj Białéj Serbji zajmowała Ruś Czerwona i czém właściwie była ona?

Obecna nazwa Galicji Wschodniéj „Ruś Czerwona" powstała z dawniéj używanéj: Ruś Czerwieńska i tyczyła się onych miast Czerwieńskich, Czerwieni, o których tak często wspominają Nestor i jego kontynuatorowie. Owoż na podstawie logiki historycznéj, na podstawie tego, że jeśli mówiąc o miastach, n. p. ruskich, polskich, niemieckich i t. d. rozumiemy, że miasta te są to miasta narodu ruskiego, polskiego, niemieckiego i t. d., twierdzi prelegent, że mówiąc o miastach Czerwieńskich, Nestor musiał mieć na uwadze miasta narodu Czerwieńskiego, narodu, który się zwał „Czerwień", „Czerwianie", mieszkający w tych okolicach, a po którym pozostała nazwa „Rusi Czerwonéj." Nie trudno dopatrzyć, że „Zerivani" historyka bawarskiego, a „Czerwianie" Nestora, byli jednym i tym samym narodem. Wreszcie są ślady, że Serbowie występowali tu pod imieniem „Zervani", bo Zubrzycki w kronice miasta Lwowa przytacza fakt, jakoby kupcy Serbowie mieli we Lwowie swoją ulicę, która po nich dotychczas nazywa się Zerwańską, albo Zarwanicą. Toż samo udowodnia i nazwa wioski „Zerwanicy."

Tak więc udowodniwszy p. Partycki, że cała przestrzeń między Wisłą, jeziorem Ilmeniem, czyli posiadłościami Nowogrodu Wielkiego i Dniestrem nosiła miano Wielkiéj, czyli „Białéj Serbji" (ślady pozostały dotychczas: przymiotnik Biała ocalał w epitecie „Biała Ruś", a rzeczownik Serbja zachował się w nazwie „Czerwieni" — „Czerwonéj Rusi") i że z nich rozsiedliły się

różne ludy na różne strony teraźniejszéj Sławiańszczyzny, a zwłaszcza Serbowie do siedzib zajmowanych obecnie przez nich, przechodzi do wyjaśnienia dziejów téj i sąsiednich od wschodu krain w czasie, kiedy otrzymały nazwę Rusi, lecz pierwéj zatrzymuje się w ogóle na Sławianach, na opisaniu miejsc ich pochodzenia i na ich wędrówkach do wieku dziewiątego.

Opierając się na świadectwie Jornanda, którego wyrażenie „Civitas Novi“ tłomaczy mianem „rzeczypospolitéj Nowogrodzkiéj“ i na badaniach Kostamarawa, twierdzi prelegent, że nazwa Sławian powstała najpierw w tym samym kraju, którego posiadłości stanowiły Białą Sorabję, albo, co na jedno wychodzi, narodu Zerivani i owszém nawet, że nazwa ta powstać mogła li tylko z téj ostatniéj nazwy; prawa bowiem filologiczne wskazują, że pokrewne dźwięki *r* i *l* w ludzkiéj mowie często mieniają się wzajemnie i posługują się jeden drugim. Tak więc Zeriwani łatwo przejść mogło na Sliwani i Sławianie. Ustaliwszy się w w. VI. ta nazwa Sławian w krainie Sorabskiéj, między Wisłą, Ilmeniem a Dniestrem, przeszła poźniéj i na inne ludy Sławiańskie, które wywędrowawszy z kraju ojczystego Sorabji na wschód, południo-wschód i południo-zachód, zaniosły ją i do nowych siedzib swoich. Twierdzenia tedy p. Partyckiego w tym razie zbliżają się do twierdzeń Duchińskiego o tyle, że i ten ostatni również za kolebkę Sławian przeznacza prawy brzeg Wisły, wprawdzie nie tak rozległą od wschodu krainę. Przyczyną przesiedlenia się Sławian z dotychczasowéj ich kolébki, z Sorabii do miejsc zajmowanych obecnie przez nich szukać należy, jak nam się zdaje, najpiérw w ogólnéj dążności ludów zamieszkujących wschód Europy, dążności parcia na Zachód — przyczynie wszechdziejowéj, a następnie w przyczynach dziejowych właściwych li tylko samym Sławianom, mianowicie ich organizacji politycznéj. Na tę ostatnią stronę zwrócił uwagę szanowny prelegent, znajdując pobudki ekspatrjacji Sławian w owém ciężkiém jarzmie, jakiém ich ciemiężyli późniejsi przybysze i sąsiedzi — Chozarowie. Lecz jarzmo to nigdy tak dotkliwie czućby się im nie dało, a nawet łatwoby je zrzucili, gdyby ich polityczna organizacja zdolna była wytworzyć jednolitą siłę zbrojną, gotową stawić czoło obcemu najezdnikowi; a charakter Sławian łagoduy — rolniczy mógł tylko wytworzyć samorząd gminny, ale nie centralicję państwową. To też pomimo wielu innych świadectw, świadectwo Nestora o ciemiężeniu ludu Wołyńskiego — Dulebów przez Obry (Olbrzymy), naród zapewne pochodzenia turańskiego i o spowodowanéj tém ciemiężeniem migracji Dulebów do Czech, gdzie nazwa ta dość długo zachowywała się — przekonywa nas o byłéj konieczności takowego przesiedlenia się Sławian. Ta wreszcie ówczesna bezludność tak obfitych we wszystko krajów, wchodzących w skład Białéj Sorabji, jak słusznie zapewnia p. P., opierając się na wielu źródłach, a pomiędzy innemi i na zdaniu Szajnochy, dostatecznie nam tłomaczy owe dziejowe wstrząśnienia, w skutek których nastąpiła powyżéj wykazana migracja.

W swoim odczycie przechodzi następnie p. Partycki do opisania wewnętrznego stanu społeczności sławiańskiéj, czyli ruskiéj i kończy rzecz najazdem Waregów na północną i wschodnią Ruś. Następne odczyty, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mieć będą za przedmiot ową gospodarkę Waregów na Rusi, gospodarkę, która dobiła ów będący w zawiązku rozwijający się pierwiastek narodowy Sławiański. Przedmiot to dość bogaty i zajmujący. Ów powolny przełom społeczeństwa ruskiego, owe podpadnięcie jego pod jarzmo waregskie, które, jak nawet sumienniejsi historycy moskiewscy nie zaprzeczają, nie obszedł się bez ciągłego głuchego protestu, a nawet niekiedy i zbrojnéj, krwawéj opozycji — podaje do rąk człowieka sumiennego żniwo obfite i wdzięczne.

Drugim odczytem sprawił nam p. Klimkowicz, redaktor „Osnowy“. prawdziwą niespodziankę, a tą niespodzianką był wygłoszony jego przekład Iliady (połowa pieśni pierwszéj). Jakkolwiek w zupełności podzielamy zdanie następnego prelegenta, Wachnianina co do ujemnego znaczenia klasycyzmu w życiu dzisiejszego społeczeństwa, wszakże wykazana w tym razie zdolność języka ruskiego w przekładzie takiéj monumentalnéj epopei, piękne daje świadectwo jak żywotności i bogactwa saméj mowy, tak i talentu tłomacza Ta gibkość i plastyczność ludowego języka ruskiego, użytego w przekładzie, to duchowe spokrewnienie mowy, ujętéj w ramy dziewiczéj prostoty, wychylającéj się z pieluch obu narodów, tak harmonizowały z sobą wzajemnie, że każdy obraz z zamierzchłéj przeszłości stawał przed nami w barwach najżywszych, każdy rys bohaterów posągowych nabierał wyrazu rozwijającego się, zda się, tuż przed okiem naszém życia. Obowiązkiem naszym będzie przedstawić wkrótce choć kilka ustępów z tego przekładu publiczności polskiéj, a te za nas powiedzą obszerniéj.

W trzecim nareszcie odczycie wystąpił p. Wachnianin, redaktor „Prawdy“ (organu Rusinów — Narodowian v. Ukrainców) z rozprawą swoją o Rusi Zakordonowéj. Zamiast atoli spodziewanego sprawozdania o stanie obecnym narodu ruskiego z Przed i Za Dniepraza, o potrzebach i stosunkach wewnętrznych ludu wiejskiego, który li tylko sam wyłącznie stanowi zarazem rdzeń i powłokę téj narodowości, posłyszeliśmy szereg zdań o walce toczącéj się w ciągu ostatnich lat kilkunastu między różnemi dziennikami moskiewskiemi, walce, którą z jednéj strony podejmowały organa quasi liberalne w imię pożyczanéj cywilizacji zachodniéj, z drugiéj — prasa konserwatywna, staro-moskiewska z Katkowem na czele. Prawda, że przedmiot sam nadzwyczaj ciekawy i zajmujący: zawziętość z jaką się rzucają ci nowochrzczeńcy-ultrasy na spruchniały, zgniły, lecz niemniéj silny zastęp przeciwników, ta rączość w pochwyceniu nowych teorji, wiara w nieomylność takowych, a więc i namiętne przywiązanie do nich i w ogóle te wszystkie cechy ludzi, którym długo były zasłonięte oczy na zachód, a którzy po maluczkiém odsłonięciu zapory z gorączkową niecierpliwością rzucają się bezładnie do wiekami nagromadzonych skarbów i pochwyciwszy takowe, na oślep rzucają się w tłumy wyćwiczonych i starych konserwatystów; tu znowu gotowość do walki tych ostatnich, którzy z największém wysileniem i uporem starych przekonań nietylko stawiają czoło nowatorom, lecz nawet do szczętu myślą ich wyniszczyć; — wszystko to dla nas, którzy tak mało zwracamy uwagi na wschodniego sąsiada naszego, są rzeczy potrzebne i zajmujące, wszakże z przedmiotem wygłoszonym na wstępie przez prelegenta w jak najmniejszym zostające związku. Pojmujemy zamiary: p. Wachnianin chciał wykazaniem téj walki dowieść jeśli nie bezzasadności bezwzględnéj panslawizmu i chwiejności podstaw jego nawet tam, gdzie on powstał i zkąd puścił korzenie na Sławiańszczyznę, to przynajmniéj słabości jego i wątłości wpływu na Rusi. Jednakże tak nie jest, bo najpierw potęga jego na Moskiewszczyźnie dość jest wszystkim nam znaną, abyśmy mieli zasypiać czujność naszą względem niego — dowodem powodzenie ostatniéj broszury Fadiejewa; a powtóre i walka ta sama wcale się nieodbywała i nieodbywa w tym kierunku, w jakim usiłował nam ją przedstawić prelegent. Bo ani tak zwana prasa liberalna moskiewska niema zadaniem swojém zbijać teorji panslawistycznych, ani też organa Katkowskie szczerze ich broniły. Jednym i drugim przedewszystkiém chodziło o te lub inne za-

sady społeczne, a nie polityczne. To sam p. Wachnianin przyznał, kiedy mówił o rozwielmożnieniu się pseudo-klasycyzmu na Moskiewszczyźnie. A w takim razie niepojmujemy, dla czego pominięto milczeniem takie osobistości jak: krytyka Dobrolubowa, który wszczepił racjonalizm w krytyce („Sowremiennik", w którym on umieszczał prace swoje, pierwszy wytknął ów wybujały później kierunek realny w dziennikarstwie). Nie mówiąc nic już o Czernyszewskim, owéj duszy czystéj i prawdziwie wzniosłéj, który chociaż wielki miał rozgłos nawet po za granicami Moskwy, jednakże niepoznany i spaczony później został — dla czego ani słówkiém jedném nie omówiono „Ruszkowa słowa" i działalności Pisarewa, owego genialnego następcy Dobrolubowa i największego ultrasa moskiewskiego?...

Wszakże pomimo tych usterek, rozprawa p. Wachnianina miłe po sobie zostawiła wspomnienie: owo ciepło ożywcze, jakiém p. W. otaczał każdą myśl prawie, każde życzenie kraju rodzinnego, ojczystéj Rusi, — to bezwarunkowe potępienie monstrualnego panslawizmu, a to współczucie i głębokie przejęcie się zasadami zdrowemi i postępowemi — każą nam się spodziewać, że gdyby nawet drogi nasze niebyły wspólnemi, to przynajmniéj otwarcie i szczerze po nich kroczyć będziemy.

Jan G.

Z Moich Wspomnień.

O życiu towarzyskiém w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

Pani Lewocka odwiedzała po razy kilka za granicą zacną i znamienitą autorkę naszą. Zwykle jéj zawoziła upominki różne z ukochanéj ziemi — z drogiéj jéj na zawsze Warszawy, zbierając przyczynki do tego wieńca pamiątkowego u przyjaciół i znajomych. Gdy więc w ciągu lata wybrała się znowu, by przyjaciółkę odwiedzić — zachęcona, przyłączyłam do zebranych dla niéj upominków, i dwa tomy Powieści moich. Czém chata bogata, tém rada. — Za powrotem przywiozła nam pani Lewocka, z osobna dla każdego, ręką autorki Dziennika Franciszki Krasińskiéj, na arkuszu wypisanych po słów kilka, i obdzieliła nas wyciętemi kartkami. Dla mnie następujące były wyrazy — które z poszanowaniem w mojéj książce pamiątek przechowałam:

„Pani Pauliny Wilkońskiéj pisma przeczytałam z wielką przyjemnością, już znałam dawniéj gładkie jéj pióro. Dziękuję jéj za uczyniony mi dar, za pochlebne wyrazy, a kiedy pozwala dać sobie rady jakie do dalszych prac, życzyłabym jéj, żeby się wzięła do jakiéj większéj pracy historycznéj. Kroniki tylko nasze i Niesieckiego przewertować należy — a treść obfita się znajdzie."

Późniéj, po latach — kiedym w rodzime Poznańskie wróciła i znowu zamieszkała tutaj — odwiedziłam w roku 1855. miłą mi na zawsze Warszawę, i dawnych tamże odszukałam znajomych. Podążyłam także do pani Lewockiéj — była wdową i mieszkała z córką, panią Łempicką, przy ulicy Królewskiéj. Przyjmowała zawsze jeszcze dość liczne grono osób, i nader przyjemnie kilka u niéj spędziłam wieczorów. Ubyło bardzo, bardzo wielu z dawnych znajomych i koryfeuszów, jedni do lepszéj przenieśli się ojczyzny — drudzy byli na wygnaniu — a inni wiedli smutne życie tułaczy. — Bywali tam zawsze jeszcze pułkownikostwo Paczkowscy, Lipiński — brat pani domu — daléj Henryk Cieszkowski, Seweryna Pruszakowa, Józefa Śmigielska, Julja Janiszewska, Apolinary Zagórski, pani Górecka, Lindowna z domu — January Suchodolski, syn jego Zdzisław i wielu innych.

Przeczytano zwykle, czy to świeżą poezją, czyli też jaki ważniejszy ustęp — albo broszurę — i rozmowa toczyła się ożywiona.

Na jednym z tych wieczorów przeczytał pan Henryk Cieszkowski Glossę św. Teresy — poezją prześlicznie spolszczoną przez Zygmunta Krasińskiego. Różne wszelako co do jéj treści powstały sądy: jedni przeczuwali w niéj miłość niebiańską jedynie — drudzy sfanatyzowane uczucie ziemi. Jedni nazwali Glossę szczytem religijnéj poezji i podniesieniem ducha — drudzy, mistycyzmu namiętném wołaniem. — Były to, zaprawdę, dziwnie sprzeczne zdania.

Podniosła poetyczność Glossy przejmowało szczególniéj religijnym entuzyazmem piękną duszę Apolinarego Zagórskiego — młodego Wołynianina wielkiej zacności i ewangieliczněj czystości ducha. Lubił zwykle o religijnych mówić przedmiotach, a mówił z namaszczeniem, z głębokością myśli i uczucia. Napisał rzecz śliczną, Kielich goryczy, i powierzył mi druk tegoż. Kielich goryczy wyszedł u I. K. Żupańskiego w roku 1855. lecz został skonfiskowanym. — We dwa lata późniéj zgasł Apolinary Zagórski na piersiową chorobę, żałowany przez wszystkich, którzy go znali.

Pani Lewocka i dziś jeszcze przyjmuje. Bywają u niéj, jak dawniéj, literaci, artyści i osoby z tak zwanéj arystokracyi. Piątki zamknęła wszelako po stracie syna — który przed latami kilku nieszczęsnym utopił się wypadkiem. — Przetrwała smutki różne — i boleść niejednę, jest cierpiącą fizycznie, lecz dotąd — jak słyszę — nie straciła na duchu i rzeźwości umysłu.

Wieczory poniedziałkowe pani Niny Łuszczewskiéj.

Salon pani Niny Łuszczewskiéj, córki jenerała b. w. p. Żółtowskiego przez lat wiele był prawdziwą chlubą Warszawy. Uprzejma, wykształcona, pełna wdzięku, gospodyni domu — i małżonek jéj, prawy, rozumny, wyższéj, naukowéj umysłowości, pan Wacław Łuszczewski, — umieli oboje w wysokim stopniu, położonemu sobie zadaniu, jak najzupełniéj zadość uczynić. Na poniedziałkowych wieczorach bywało po sto osób — i więcéj. Zwłaszcza téż, gdy córka ich, Deotyma, swoim niezwyczajnym zajaśniała talentem.

Pani Nina łacno zjednywała sobie sympatję, powabem naturalnéj dobroci i życzliwą dla każdego uczynnością. Mając nader rozległe stosunki, chętnie z nich korzystała, gdy chodziło o zrobienie przysługi komu lub niesienie pomocy. — Samam tego doświadczała w chwilach ciężkich, uwięzienia męża mojego w cytadeli. Dawała mi wtedy dowody życzliwości najszczerszéj — odwiedzała — radziła — okazywała współczucie, — i niosę serdeczną wdzięczność jéj pamięci na zawsze.

Pan Wacław Łuszczewski — syn b. ministra spraw wewnętrznych z księstwa warszawskiego, radzca komisji ogniowéj, radzca Towarzystwa kredytowego — mia-

nowany kamerjunkrem cesarsko-rosyjskim, — również chętnie dopomagał drugim, nie chełpiąc się nigdy tém, co uczynił. — Należał do składu Biblioteki warszawskiéj. Pracował sam na niwie piśmiennictwa polskiego, wykończył niejednę naukową pracę, a napisał i parę powieści, zdolności i fantazji wyższych — wydrukowanych w dodatku Tygodnika illustrowanego.

Pani Nina zostawiła: Opis Krakowa. — Dumania i modlitwy, wierszem. Jednę z modlitw przełożyła z pism św. Teresy, z dewizą: Cierpieć lub umrzeć. — Aforyzmy. — Rozmyślanie nad modlitwą Pańską, *Ojcze nasz* przekład z dzieł ś. Teresy, drukowany w czasopiśmie Pielgrzym, pod redakcją Eleonory Ziemięckiéj. Była członkiem zgromadzenia arkadyjskiego — stowarzyszenia literatów włoskich, i zostawała z niektórymi w korespondencji.

W r. 1847. chcieli uczeni Warszawy dać obiad na jéj cześć, i w tym celu udała się do niéj deputacja, złożona z członków Biblioteki warszawskiéj, na któréj czele był J. D. Minasowicz — radzca stanu — poeta — tłomacz Szyllera. Ale podziękowała za ten zaszczyt, w nader skromnych wyrazach — prosząc zarazem, by fundusz ten raczéj użytym został na wydanie dzieł Kopernika. Uszanowano wysoce tę jéj odpowiedź i wskazówkę.

Oboje państwo Łuszczewscy sercem polskiem, każdą polską obejmowali pracę.

Mieli dwie córki: Kazimirę — znaną, jako poetkę, pod pseudonymem Jolanta — zmarłą w roku 1862 panią Komierowską, i Jadwigę — Deotymę, słynną improwizatorkę — poetkę, którą w Niemczech Das Wunderfräulein nazwano.

(Ciąg dalszy nastąpi).

BĄDŹ CZŁOWIEKIEM!

Kobiéto, dotąd życia nieświadoma walki,
Nieznająca praw jego ni drogi, ni mety:
Byłaś do dziecka szału podobną, lub lalki,
Lecz na czole twém djadem nie błyszczał kobiéty!

Dotąd pierś męzka w życiu, była dla cię tarczą,
Trwożna ptaszko! fantazji wykarmiona mlekiem.
Dziś męże zniewieścieli — a burze już warczą...
Z popiołów wzleć Fenixie i stań się człowiekiem!

Bądź człowiekiem... patrz, oto droga się rozściela,
Na téj drodze nędzarzy widzę albo dziatki:
Ci, odnaleść nie mogą krzyża Zbawiciela,
Te od krzyża odeszły i od trumny matki.

Bądź człowiekiem... niech siły w tobie się wytężą,
Niechaj dłoń twoja czuwa nad otchłani cieniem:
Cnotą podbijaj męztwo, sercem zrównaj mężom,
A więcéj wzniesiesz słowem, niż oni ramieniem.

Bądź człowiekiem... nie wzdychaj do skrzydeł anioła,
Bo nie w eterach tobie odprawiać gonitwy.
Człowiek woła miłości... ziemia pracy woła,
Dzięcię, drobne rączęta splata do modlitwy.

Idź do wiedzy... przed tobą płynie ona rzeką:
Niech każde słowo mędrca w tobie w czyn się wcieli.
Lecz pomnij... sercem więcéj obdzielisz daleko,
Niż mędrzec swą nauką łaknących obdzieli.

Oto cel twojéj drogi... a do takiéj mety,
Idź pełna wiary, ręce podnosząc z daleka!
I nie walcz nierozważna! o prawa kobiéty,
Gdy przed tobą otwarte są prawa człowieka!

Władysław Bełza.

Korespondencje z Warszawy.

Warszawa, 8. stycznia 1871.

Fizjognomia stolicy. — Poezja. — Sęk. — Kolankowski. — Klin i Lubowski. — Wydawnictwo Dzikowskiego.

Podejmując się pisywania do waszego Tygodnika korespondencji z Warszawy, zdaje mi się, że należałoby wprzódy obznajmić was nieco z fizjognomią tutejszego miasteczka. Warszawa bowiem ma swe przyzwyczajenia, swe zajęcia i swe wyobrażenia, zwyczajnie, jak każda stara panna... Więc czasem ziéwa aż strach bierze, czasem się modli, czasem swawoli, jak Bachantka, a przy tém wszystkiém jest ona nader systematyczną w swém codziennném życiu, w swych postępkach i rozkładzie godzin... pod tym względem zarwała coś od Prusaków.

Więc nadobna ta syrena, na pół kąpiąca się w Wiślanych falach, budzi się bardzo wcześnie i zapełnia swe ulice o świcie najserdeczniejszemi dziećmi... Jeżeli kto bowiem, co umié patrzeć, o godzinie 5. lub 6 rano wyjdzie na miasto, to spotka cichy ów ruch spieszących do pracy robotników, drwali, flisów, tragarzy, i miłosne, bo czerwone czapki posłańców publicznych. Serdeczne to są, powiedziałem, dzieci Warszawy — urodzone na jéj bruku, wykołysane szmerem oddechu wielkiego miasta, kryjące się w głębiach jéj serca, bo w starém mieście... Tam patrzy na nich duch olbrzymi Kilińskiego, katedra gotycka „promienna spokojem“ i „kamienna struna“ Zygmuntowskiéj kolumny. Koło godziny 8 rano ruch ów powoli ustaje, a na jego miejsce pojawia się inny. Służące spieszą z koszykami, szwaczki drobnemi nóżki biegną po ślizkich chodnikach ulic, w towarzystwie młodzieży szkolnéj lub akademickiéj, urzędnicy i t. d. A już późniéj gwar się wzmaga, wielki świat wylewa się na ulice i szumi.

Oto lekko i powierzchownie naszkicowana fizjognomja Warszawy. Co do nas, jakkolwiek wykołysani górskim szmerem krakowskiéj ziemi, takeśmy przyzwyczaili się do tego życia palącego i gorączkowego Warszawy, że ciężkoby nam było się z nim rozstać. Tutaj bowiem zbiegła się najszlachetniejsza krew narodu, tu streszczają się wszystkie tętna jego życia i pomimo kosmopolitycznego pokostu, wielkim miastom właściwego, Warszawa jest całkowicie polską... A już o szaréj godzinie zadumy i tęsknoty za lepszą a minioną dolą, w cichym kąciku domowym, gwarzą tutaj serdecznie o tém, co było, co będzie... I dziwna, nieujęta ogarnia cię poezja, gdy patrzysz na ten grobowiec wielkich poświęceń, wielkich cierpień i rozkrzyżowania onego.. Ludzie żyją, pracują, śmieją się i płaczą, i kochają... Jeśli bowiem umiesz patrzyć to tych par miłosnych co marzą o życiu szczęśliwém, nie myślących o przeszłości, tysiącami tu napotkasz... Cóż dziwnego! miłość opromienia życie, jest jego śmietanką, jego okrasą,

słońcem złotém. Jasny ten dramat życia wszędzie odgrywać się musi gdzie jest młodość i... serce i poezja. Poezja! nie bardzo wprawdzie na nią chorujemy w tych czasach. Dowodem tego są książeczki jakie w ostatnich czasach ukazały się w handlu księgarskim. Pan Teodor Sęk (Sęczkowski) młody człowiek i nie bez talentu, autor nieskończonego poematu Zwierzęta, wydał nową swą pracę p. t. Bitwa. Poeta zdjęty grozą na widok straszliwego epizodu z dzisiejszéj wojny w Kamieniołomach pod Gravelotte, osnuł na téj fałszywéj zresztą opowieści, treść swego poematu. Jest to talent bujny, choć nieumiejący sobie z niczego zdać jasnéj sprawy, owijający się chętnie w tajemnicze cienie — z których trochę trudno jest co wyrozumieć. Są tu w istocie niektóre ustępy napisane ślicznie — ale całość jest słabą i lepiéj żeby pozostała była w tece od feliciora tempora. Drugą książeczką są Łzy i uśmiechy Antoniego Kolankowskiego. Poeta ten młody znany jest z luźnych, drobnych poezji drukowanych po tutejszych dziennikach, które teraz zebrał razem i wydał w osobnéj książeczce. Nic nowego, forma stara i zużyta, myśli żadnych — słowém biéda! To téż w obec braku poezji, karmiemy się tutaj przedrukami Słowackiego. Pan Mieczysław Dzikowski, komedjopisarz, rozpoczął na swą rękę wydawnictwo, którego prenumerata na 11 tomów wynosi 5 rs. Dotąd wyszła powieść samego wydawcy p. n. Dziewczyna, słaba i epizodycznie pisana. Mazepa, tragedja Słowackiego i tegoż W Szwajcarji. W skład owych 11 tomów mają wejść Mindowe Słowackiego, Kobiéty i mężczyźni powieść Józefa z Mazowsza, Estetyka Taina, powieść p. Sandon i inne. Wydawnictwo to dobre i ożywiające nieco ruch księgarski. Zresztą nic nowego. Pan Klin (Kaliszewski) autor Szkiców przetłomaczył Pieśni miłosne Horacego, ale słabo choć uczenie, za co krytyka tutejsza, chorująca gwałtem na uczoność, łaskawie przyjęła potępionego dotąd autora. Smutnéj pamięci pan Edward Lubowski autor niefortunnego dramatu Żyd, drukuje w szpaltach Tygodnika Romansów i Powieści, nową powieść p. t.: Aktorka, która z tego powodu budzi dużo zajęcia, że ma być w niéj skréślone życie P. Heleny Modrzejewskiéj. Powieść sama zresztą słaba jak wszystko tego miernego pisarza. Teatr drzémie — nowości oryginalnych prawie nic — posiłkuje się tłomaczeniami. Pani Modrzejewska niedługo ma wystąpić po chorobie, czego z utęsknieniem oczekujemy. Reżyserja przygotowuje Hamleta, lękamy się tylko by znowu nie dała go przerabiać takim panom Rzętkowskim jak to miało miejsce z tragedją Romeo i Julja. — Zresztą nic nowego — zima ostra — sanna — karnawał i maskarady poczynają się. Lecz wszyscy czekają na trzecią maskaradę, która bywa zwykle najbardziéj uczęszczaną. Nudzimy się porządnie bo i wojna nam już zobojętniała. Resztę do następnego listu. ¬þ

Warszawa, 9 stycznia 1871.

Czy mam w mym sprawozdawczym liście cofnąć się do ostatniego miesiąca roku zeszłego, czy téż zaczynając od powinszowaniem Wam nowego, ograniczyć się kilkoma upłynionemi jego dniami? Wolę pierwsze chociażby tylko dla ułatwienia sobie zadania; nie mniéj jednak chcę Wam złożyć życzenia. Obyście na tysiące liczyli prenumeratorów, na dziesiątki tysięcy czytelników i obyście nie znali nigdy uprzedzającéj cenzury! To ostatnie życzenie musi przyjść na myśl każdemu, kto patrzy na wyprawiane z naszemi pismami prawdziwe sztuki łamane, w skutek których „Kurjer Codzienny" musiał zaprosić na głównego redaktora p. Aleksandrowskiego, Rosjanina, aby tym sposobem zapewnić sobie spokojniejszą przyszłość. Wszyscy wiedzą, że będzie to tylko firma, po za którą „Kurjer" i tak ze swéj natury zupełnie niewinny nie ulegnie żadnéj nowacji. — Większéj poniekąd doniosłości jest zmiana w redakcji „Dziennika Warszawskiego.". Nie wielu zapewne z pomiędzy Waszych czytelników zna ten tutejszy organ rządowy, tak krótko a tak dobrze scharakteryzowany w „Rachunkach Bolesławity". Jakie pismo, taki redaktor i vice wersa. P. Pawliszczew, który pełnił zarazem obowiązki cenzora teatralnego, był znanym i jako autor. Wychowańcy zakładów naukowych w Królestwie z epoki kuratorstwa Muchanowa przypominają sobie zapewne historję polską napisaną po rosyjsku przez p. Pawliszczewa. Była to mała książeczka, w któréj autor nie ceremonjując się z faktami między innemi twierdził np. stając w obronie Suwarowa, iż nie było nigdy pragskiéj rzezi, mimo iż wtedy żyło jeszcze wielu współczesnych świadków tego krwawego dramatu. Objąwszy redakcję „Dziennika", p Pawliszczew starał się usilnie obrzucać błotem wszystko, co dotyczyło naszéj narodowości, a bezczelność, z jaką występował. gorszyła nawet Rosjan. Szczególniéj ohydną barwą odznaczały się korespondencje zagraniczne. Powiadają, że obecnie przy złożeniu rachunków p. P. nie potrafił usprawiedliwić kwitami sum wyasygnowanych korespondentom i rodzi się naturalne przypuszczenie, że byli nimi domorośli fabrykanci. Na miejsce Pawliszczewa zamianowany został p. Wejnberg, profesor uniwersytetu, którego anteriora pozwalają sądzić, iż jakkolwiek wystąpi także w roli rządowego działacza, przecież poczucie moralnéj godności i samo nawet gruntowne wykształcenie estetyczne, jakie posiada, wytrącą mu z ręki nieuczciwą broń poprzednika.

W teatrze mamy nowości. W rolach naiwnych czaruje nas stale już ze Lwowa zaangażowana p. Romana Popiel. Mieliśmy także w końcu zeszłego miesiąca debiut p. Kwiatyńskiéj w Doktorze Robin. Znający tę sztukę, przygominają sobie, iż rola rozegzaltowanéj i oprzytomniającéj się narzeczonéj adwokata, jakkolwiek mniéj szarżowana od roli głównego bohatera (Garrik-Królikowski) przedstawia przecież wiele trudności, z których p. K. wyszła zwycięzko. Nie można tego powiedzieć o wielu artystach świeżo przybyłéj opery włoskiéj, w któréj tegorocznym składzie prawdziwym filarem jest p. Storti-baryton, rzeczywiście z nadzwyczajną skalą. Niżéj już, mimo znakomitéj szkoły, stoi tenor (Pollis) i bas (Perkins) zanadto może profundo ze szkodą wyższych tonów. O żeńskim personalu, nie wyłączając i soprano dramatico (panny Vizjak) zamilczeć wolę. — Teatr w ogóle licznie jest uczęszczany, mimo, iż rozpoczynająca się pora karnawałowych zabaw — zdaje się w inną stronę pociągać uwagę, kieszenie i osoby Warszawian.

Dotąd wprawdzie nie rozhulano się jeszcze na dobre. Sylwestrowski bal w resursie kupieckiéj nie był zbyt świetny, — pierwsza maskarada, jak zwykle pierwsza, zrobiła także fiasco. Ale tak daléj nie będzie, mogę Wam za to ręczyć. Ruch płci niewieściéj po magazynach i sklepach każe się domyślać, iż panie nasze szykują na gwałt liczne ornamentacje swych wdzięków, z jakiemi wystąpią niebawem na karnawałowéj arenie. — Mniéj ruchu w księgarniach, jakkolwiek obecnie zamykane roczne rachunki przekonywają, iż nasza publika w porównaniu np. do galicyjskiéj, jest jeszcze nie najmniéj czytającą. Prowincja mianowicie dała w r. z. pewne oznaki życia. W kilku miastach gubernialnych zaczęły wychodzić pisma perjodyczne. Pokazało się także parę prowincjonalnych kalendarzy na r. b. a nawet i parę książkowych wydawnictw. O tych ostatnich jak również w ogóle o warszawskim ruchu literackim powiem Wam jeśli pozwolicie w przyszłym liście — tu tylko dla porządku zaznaczę, iż w „Opiekunie domowym" (wydawnictwo Mieczyńskiego) faktyczną redakcję objął Fr. Gumowski. X.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Mimo że kiedyś słyszałem następującą rozmowę w salonie, —

— Prześliczne powietrze, rzekł młody człowiek, przyciskając klak do boku — nieprawdaż, prześliczne powietrze, powtórzył, niewiedząc, co zrobić z rękami...

— Pan mnie widocznie bierzesz za barometr odrzekła mu z komiczném oburzeniem panna — nie zacząłeś ze mną nigdy rozmowy inaczéj...

Mimo téj panny i jéj odpowiedzi uważam pogodę za najlepszy wstęp do pogadanki. W Poznaniu szczególniéj, w braku innych przedmiotów zajęcia można zostać zaciętym meteorologiem. Co do mnie czuję osobliwą skłonność do podobnych obserwacji Niedawno z bojaźliwym niepokojem śledziłem za postępem mrozu, drżąc wszystkiemi dreszczami skurczonych przechodniów i wypatrując rychło białe niedźwiedzie na ulicach naszego miasteczka obaczę; dzisiaj z przerażeniem spostrzegam że Poznań jest w wigilję potopu.

Na srogi ten domysł przywodzą mnie széroko rozlane po piérwszéj odwilży po placach i ulicach jeziora, z krą pędzącą, a niedawno w niższych częściach miasta zajrzawszy do suteren, przekonałem się, że biédnym ich miaszkańcom gwałtem już trzeba arki. Biedni ludziska! Nigdy bez nerwowego dreszczu nie mogłem pomyśléć o tém jak dzieci śpią w podobnych mieszkaniach Okropnemi myślami w tych kałużach, muszą nasiąkać ich małe główki. Rosną te myśli, rozkręcają się w duszy parjasów, aż przyjdzie czas, że Nędza wyprowadzi swoich wychowańców na słońce i odda ich w ręce Zbrodni.

* * *

Taką niańkę i takich przewodników miał zapewne ów nędzny człowiek, który w tych dniach, w jasne południe, zamordował prof. Ludwika Zeisznera w Krakowie. Znakomity geolog był podobno zajęty nową pracą o ulubionych mu Tatrach, kiedy ręka zbrodniarza przecięła dni jego, drogie narodowi i nauce. Dziś kiedy ów przysłowiowy „policjant austrajacki“ stracił swój węch, — zbrodnia ta może pozostać bezkarną. A kto wié, jakie bezdenne otchłanie kłamliwych rozumowań i szatańskich popędów odkryłoby śledztwo w duszy winowajcy. — Byłby to nowy materjał do niesłusznie zaniedbanéj u nas psychologji kryminalnéj, którą zaledwie jeden tylko Juljan Ochorowicz w Warszawie pięknemi swojemi pracami rozwija...

Czytając jego „Pytania psychologiczne dziewiętnastego wieku“ przejęci byliśmy dla autora uwielbieniem i pociągnięci silnie do nauki, która świat wewnętrzny człowieka na oścież otwiera. Ileż na podobnéj analizie zyskuje prawodawstwo i filozofja, ile indywidualne udoskonalenie człowieka, które jest tylko owocem świadomości. Polecamy uwadze ludzi uczonych powyższą książkę tegoż autora, i wydane w dwóch ostatnich latach w Warszawie dzieło jego pod tytułem: „O metodzie badań psychologicznych.“ Dla dramaturga prace takie są katechizmem, dla ogółu wezwaniem do współdziałania i popierania zbawiennych obserwacji psychologów posiadanemi materjałami.

Niedawno jeden z utalentowanych młodych artystów dramatycznych, zapytywał mnie dla czego, kiedy w Niemczech wszystkie postacie wielkich poetów, wstawiono w dramata, u nas nikt nie śmié, czy nie umié udramatyzować postaci Mickiewicza, Słowackiego i legendowéj pamięci Malczewskiego? Przyczyną tego niewątpliwie, jest nie obawa świętokradztwa przez wyprowadzenie postaci wieszczów na deski sceniczne — ale brak materjałów ogłoszonych do historji anegdotycznéj życia, do ich psychografji, które Niemcy w takiéj obfitości posiadają. — U nas nieocenione źródła do życia i duszy Lelewela spoczywają w rękach prywatnych — tysiące listów pleśnieje po tekach i szufladach, a jeśli jakie na świat się pokażą, to jak listy Krasińskiego, wydane przez Gaszyńskiego niezupełne, wedle systemu wydawcy ułożone, żadnego a nieraz nawet błędny obraz ducha poety dają. Ileż trudu zażyć musiał prof. Małecki, zanim z rozsypanych okruchów odbudował tak wyraziście postać Słowackiego. Gdzie więcéj prac podobnych? Zbrodnią jest prawie kryć u siebie materjały do życia i ducha znakomitych ludzi. Tu miejsce podziękować p. Paulinie z L. Wilkońskiéj, za obdarowanie pisma naszego wieloma niedrukowanemi utworami naszych poetów, będącemi w jéj posiadaniu, i za obietnicę udzielenia nam cząstki z bogatego zbioru listów.

* * *

Bogdajby ta obojętność publiczna nie rosła z dniem każdym. A jednakże fakta nie zawsze dobrze wróżą. Założona na krésach polskich, w maleńkiém miasteczku Pokuckiém, Kołomyi „Jutrzenka“, z godną uwielbienia wytrwałością i taktem postępując naprzód, odwołuje się ciągle do obojętnéj publiczności, a u nas „Przyjaciel dzieci“ p. Chociszewskiego, tak dobrze już pedagogice i światu małych ludzi zasłużony, tylko ofiarności zacnego redaktora zawdzięcza swoje użyteczne istnienie. To też tém drożéj cenimy w pośród podobnych trudności każdy ruch, każdy objaw nowéj działalności. Wiadomość, o założeniu nowéj drukarni, którą może niedyskretnie trochę z publicznością się dzielimy, przejęła nas prawdziwą pociechą. — Poświęceniem to zdobyty i pożądany środek działalności w rękach szanownych.

* * *

W téj chwili odbiéramy list z Buku, zdający nam sprawę z inauguracji nowego Towarzystwa przemysłowców w tém mieście. Z serdeczném przejęciem odczytaliśmy szczegóły téj uroczystości, i powitaliśmy, nowe zgromadzenie ludzi dobréj woli, radosnym okrzykiem. Poczucie siły która jest we wszelkiém połączeniu i żądza komunji duchowéj przewodniczyła pomysłowi nowego towarzystwa. Daj mu Boże wytrwałość! Od chwili zawiązania się winno krajowi rachunek z czynów... Zaczęło piękną demonstracją W dzień inauguracyjny amatorowie, na świadectwo szacunku dla mowy i ducha narodowego przedstawili w obec towarzystwa, kilka utworów scenicznych! Oddajmy słowo korespondentowi: „Zebranie było pełne zapału i zgodnéj myśli. — Rozpoczął przedstawienie piękny wiersz Władysława Ordona, wygłoszony z uczuciem przez amatorkę p. U.

Słuchano go w religijném skupieniu. Kiedy poeta błogosławiąc swoją myślą pracy naszéj, powiada:

Działajmy nie w rozbiciu, — Bóg nie patrzy mile,
Bóg nie chce błogosławić rozdzielonéj sile;
On woli jeśli wierne Mu dusze gromadą,
Pokotem na podłogę świątyni się kładą,
Gromadą jeśli z sierpem na zagonie staną,
Gromadą, jeśli sieją na ziemię zoraną,
On woli, bo powiedział, że gdzie w Jego imie,
Jedna izba zebranych pracowników przyjmie,
Tam on siłą, nadzieją, natchnieniem i radą
Spłynie i będzie wieczny między tą gromadą!

Oto znów w imie czynu i spólnego celu,
Zebrało się nas razem tak mało.. tak wielu!
Tak wielu, bo gdzie plecy popierają plecy,
Gdzie rada krzepi radę, jak w słowiańskiéj wiecy,
Gdzie po jeden cel ramię połączone sięga,
Tam sto zamienia w tysiąc miłości potęga!“

mimowoli spojrzeliśmy na siebie i ścisnęliśmy sobie ręce, świadcząc tym jednomyślnym ruchem o ożywiającéj nas miłości owéj.

Pod świeżém wrażeniem słów powyższych ze szczerą wesołością wysłuchaliśmy przedstawienia krotochwili, „Przekora“ któréj osobliwie dobre oddanie wywołało rzęsiste oklaski. W „Orylu“, prawdziwie narodowe poję-

cie ról i wdzięczne głosiki amatorek zachwyciły zebranie a kiedy w końcu „Franek“ podziękował zaimprowizowanym wierszem za współczucie i oklaski publiczności, zapał i rozradowanie niemiały granic.

Rozeszliśmy się obiecując sobie jak najprędsze odnowienie podobnéj rozkoszy, powtarzając słowa Władysława Ordona:

O bo to polskie słowo, skarb najbardziéj miły!
Myśli, co się w postacie dramatów wcieliły,
Duch, wiekujący w każdym ojczystym utworze,
Czucie stłumione trudem rozpłomienić może,
Głowę ciężką od troski życiowych kolei
Wznieść w górę z dumnym gestem wiary i nadziei!
O! bo po ciężkiéj pracy od młota lub dłuta,
Myśl się zerwać chce w górę do ziemi przykuta,
I nie starczy dla człeka powszedniego chleba,
I nie zaprzeć mu rwania swojego do nieba:
Bo trzeba dzieciom słyszeć czystość polskiéj mowy,
Pokazać pogrobowcom strój ich narodowy,
Matek naszych sióstr, córek, narzeczonych dusze,
Poić tchniem poetów w życiowéj posusze,
Ujrzeć, co wieszcze nasi, rozkochanym ruchem
Serca, umieli dobyć z narodowych cierni,
Bo póty ludzie, póki wznosim ciało duchem,
Bośmy póty Polacy... póki Słowu wierni!“

W.

Przegląd literacki.

Ułomności nasze narodowe i społeczne, oraz środki ku sprostowaniu tychże przez Maksymiljana Jackowskiego. Poznań. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego. 1870.

Ostatniemi czasy w braku istotnéj krytyki wkradł się do dziennikarstwa naszego zwyczaj rzucania między politycznemi wiadomościami, luźnych a doraźnych sądów o utworach literackich. Korespondenci tacy, nie mogąc się zdobyć na umiejętną recenzję, a pragnąc dogodzić albo chętce ciskania z wysokości trójnoga apodyktycznemi wyroki, albo też z osobistych względów chcąc potępić autora lub stawić go na piedestale, wyrządzają piśmiennictwu niesłychaną krzywdę. Panegiryk i paszkwil, które opuściwszy właściwe sobie miejsce pomiędzy inseratami, rozsiadły się szeroko na pierwszych stronnicach gazet, przynoszą ujmę pismom, które je umieszczają i samymże podjazdowym arystarchom. Ztąd zdaniem naszém obowiązkiem jest każdego sumiennego recenzenta karcić surowo ten proletarjat krytyki, gdziekolwiek i w jakiéjkolwiek formie się on ukazuje.

Wytknąwszy sobie taki cel, pragniemy w niniejszym artykule rozebrać korespondencję z Poznańskiego do Kraju (Nr. 297, z dn. 29 grudnia), która bezpośrednio po ukazaniu się dzieła p. M. Jackowskiego z niezwykłym napisana pośpiechem (bo w każdym razie przed świętami Bożego Narodzenia, gdy „Ułomności“ jeszcze nie były w ręku czytelników) ex auditu, czepiając się filozoficznych ogólników, wojuje z autorem. Podając niniejszą obronę dzieła, zastrzegamy sobie raz jeszcze powrócić do przedmiotu.

„Ułomności nasze, mówi korespondent, przypisuje p. Jackowski odstępstwu od idei narodowéj. Autor „Ułomności“, powiada korespondent daléj, zdaje się pojmować ideę i naród, który ją ma piastować, jako rzeczy gotowe, skończone, kiedy przecież historja i filozofja uczą, że narody są organicznemi odłamkami ludzkości, które przez bardzo długie wieki tworzą się, rosną, przekształcają przez wewnętrzne siły i zewnętrzne, że daléj żadnemu nie spadła idea z nieba gotowa, jakby jaki zakon, wedle któregoby mógł miarkować i kierować postępowanie swe w sprawach życia ziemskiego, więc w sprawach ekonomicznych i intelektualnych, tworzących podstawę tak bytu materjalnego jak i duchowego. Idea narodu niczém inném nie jest, jak wielką i żywotną sumą żywotnych myśli, których naród nie posiada z góry, ale dana mu tylko możność zdobycia ich, ucieleśnienia i zachowania przez dzieła swe jakiegokolwiek rodzaju, umieszczone w przestrzeni i czasie. Przestrzeń, którą naród zamieszkuje, a więc kraj, i czas, w którym żyje: są, jak owe karty papieru u mędrca spisującego myśli swe, a pismem narodu jest jego praca; dzieła pracy jego są to wyrazy wiecznotrwałe jego myśli, jego idei, nie jak autor twierdzi jakieś znikome znaki.“ Po uważném przeczytaniu „Ułomności“ i zastanowieniu się nad przedmiotem opracowanym, nigdzie nie znalazłem i pozoru do zarzutu, jaki recenzent autorowi czyni. Z całego rozumowania pokazuje się, że p. Jackowski nie uważa bynajmniéj narodu za rzecz „już gotową“, że nie pojmuje idei „jako zakonu objawionego“, ale owszem napomina naród do pracy duchowéj i materjalnéj, skarży się, że naród nasz nie dosyć energicznie przyczynia się do rozwoju myśli swéj, że dla tego stracił byt polityczny, — a po utracie takowego jeżeli odda się bezczynności i przeżuwać tylko będzie pokarm mu podawany, nie zdobędzie się na nic samodzielnego, z głębi własnego ducha wydobytego i urzeczywistnionego, wtedy straci wartość moralną i charakter odrębny w ustroju społecznym, zniknie i rozpłynie się w narodowościach obcych, bo własnéj wyrobić i zachować nie chciał lub nie umiał. Historja i filozofia a nawet codzienne doświadczenie nas uczą, że jak praca potoczna, codzienna, podzieloną jest pomiędzy jednostki i że o ile jednostka zadosyć czyni obowiązkowi, o tyle ma uprawnienia i znaczenia w pożyciu codzienném, tak i praca ludzkości podzieloną jest pomiędzy narody, a wywiązanie się z tego zadania zapewnia narodowi odrębność i znaczenie historyczne. Tak samo człowiek pojedyńczy, jako i naród obok codziennych, mniejszych, rozdrobnionych czynności i zatrudnień, przez które zostaje w stosunkach z innymi ludźmi i narodami, dąży mianowicie do osiągnienia swego celu i w tę właśnie stronę siły wszystkie wytęża — a celem tym jest właśnie idea, która po długiéj pracy a rozlicznych zabiegach ma być ucieleśnioną; dążenie zaś do tego, wytrwała a umiejętna praca, upoważnia naród w „przestrzeni i czasie“, na któréj i w którym czynność swą rozwija, do życia historycznego i właściwego sobie charakteru. Że autor „Ułomności“ tak pojmuje ideę narodową, a bynajmniéj, jak się korespondentowi przewidziało, przekonujemy się najprzód z przedmowy saméj, gdzie powiada: „Lubo organizm człowieka ma wiele podobieństwa do organizmu narodu, to jednakże między warunkami żywota pierwszego, a warunkami żywota drugiego ta zachodzi różnica, że dusza człowieka po pewnym przeciągu czasu opuszcza ciało według niezłomnych praw, gdy co do życia narodu prawa te są zależne od dochowania wierności objawionéj idei, któréj ucieleśnienie jest narodu posłannictwem; im przeto naród jest więcéj wierny swéj idei, tém dłużéj żyje i odwrotnie, albowiem ma on niespożytą siłę, którą z samego siebie czerpać winien dla przedłużenia swego żywota.“ Gdzież tutaj się dopatrzyć, aby autor „Ułomności“ uważał naród i ideę za rzecz skończoną, jak to korespondent twierdzi? — czyż nie widzimy wyraźnego żądania pracy, a pracy wytrwałéj i sumiennéj, bo od niéj życie lub śmierć narodu zależy? — czyż wyraźnie nie mówi autor, że ideę, która spoczywa w łonie narodu, trzeba mu przez pracę ucieleśnić, natchnąć życiem i rozwijać, nie zaś jako już rozwiniętą tylko piastować i w płaszczu zgnuśnienia i bezczynności na nią patrzeć?! Jeżeli zaś naród własnéj swéj siły nie rozwija czynnie i nie kształci, ale ogląda się tylko po za siebie lub wyciąga rękę

przed siebie, aby zostać wspartym i jeżeli okruchami z cudzych stołów się wyłącznie żywi — wtedy odstępuje od swéj idei, nie żyje życiem własném, ale obcém, nie posiada i nie wyrobi własnego charakteru ni stanowiska, bo zależny jest od kaprysu i łaski obcej.

Myślę, że korespondent się zgodzi ze mną na ten pewnik, że narodowi jest dane z góry od Opatrzności pewne posłannictwo, które ma wypełnić, a posłannictwem tém jest owa „idea objawiona" jak mówi autor „Ułomności" lecz jest ona nią in potentia, a ma być urzeczywistnioną in actu, co stanowi pracę narodową. która to praca zapewnia znów narodowi byt niezależny i znaczenie historyczne. Słusznie autor „Ułomności" twierdzi, że „nauki, sztuki, przemysł, rolnictwo, słowem cywilizacja nie są w stanie zachować narodu od śmierci" — jak bowiem czyny ludzkie są uświęcone moralnością i przez nią znaczenia nabierają, tak cywilizacja powinna się opierać na idei narodowéj i przez nią być uświęconą. Korespondent sam przyrównywa naród do mędrca, spisującego myśli swe w przestrzeni i czasie — a daléj mówi, że pismem narodu jest jego praca. Toć ów mędrzec dla tego jest mędrcem, że spisuje to, co z głębi własnego ducha wydobył i stworzył, a nie przepisuje tego, co inni już napisali byli — a praca narodu, dla tego jest narodową i jego własną, że jest ucieleśnieniem idei, — czego autor „Ułomności" szczególniéj się domaga. Daléj powiada korespondent: „ani narody nie zginęły, tylko się przetworzyły, ani dzieła ich, bo my n. p. nietylko znamy doskonale cywilizację starożytną, lecz uczyniliśmy z niéj podstawę nowożytnéj. Nie zginęła ona, zmieniły się tylko warunki jéj istnienia." Dziwném jest twierdzenie korespondenta. Wiemy bowiem z historji, że narody starożytne jak np. Etrusków i Sabinów, Assyryjczyków i Babilończyków, a nawet światowładnych Rzymian pod względem narodowo-politycznym zaginęły. A narodu każdego jest zadaniem i przykazaniem świętém, aby się z polskiego na niemiecki, z francuzkiego na hiszpański i odwrotnie nie przetwarzał, jakby to ze słów korespodenta wnosić należało, ale aby się rozwijał duchowo i materjalnie, a charakteru właściwego nie zacierał, na inny nieprzetwarzał, ale owszem go ustalał i uwydatniał; skoro naród się przetwarzać poczyna, odstępuje już od idei swego posłannictwa, a za zupełném przetworzeniem następuje śmierć jego polityczna. A zatém widzimy, że cywilizacja sama nie uchroni narodu, że ona raczéj razem z nim przechodzi na własność obcą. „Źleby było na świecie, mówi korespondent, gdyby w postępie cywilizacji nie było ciągłości, a między pracownikami jéj (narodami) wzajemności."

Historja pokazuje, że Grecy starożytni, przejęli się cywilizacją semicką, ale umieli ją zużyć i zrobić ogromny krok naprzód. Tak daléj rzymska cywilizacja urosła na drożdżach greckiéj, romańska i germańska zużyła wszystkie zdobycze swych poprzedniczek, a nam przypadło i przypadnie korzystać z cywilizacji wieków minionych." Rzeczą jest pewną, że tak Grecy jak Rzymianie korzystali z cywilizacji obcéj, lecz nie przejmowali jéj ślepo, o czém świadczą ich ustawy i życie polityczne. Grek pomimo, że w licznych zostawał stosunkach z narodami ościennemi, nie przetwarzał się i nie uległ ich wpływowi, ale właśnie tém oryginalniéj się rozwijał, bo był wierny swéj idei narodowéj i tradycji — a przejmując coś z cywilizacji obcéj, nie czynił tego dla ślepego naśladownictwa, ale dla użytku, i to tylko na ziemię swoję przenosił, co się jego idei, tradycji, celowi narodowemu nie sprzeciwiało — wszystko zaś inne, jako nieprzyjazne oddalał. To też każdy cudzoziemiec zwał się u niego „βάρβαρος" — co znaczyło tyle, co nieprzyjaciel. Potęga Kserksesa nie zdołała złamać tego liczebnie małego ludu, a Azja zalać małego kraiku, bo Grecja była wierną swéj idei. Nie widzimy tam naleciałości azjatycko-afrykańskich, ale oryginalność grecką i nieskażoną narodowość. Dopiéro po przeniewierzeniu się swéj idei, po ślepém naśladownictwie i przyjmowaniu do siebie wszystkiego, co obce, a zaniechaniu własnéj pracy i twórczości, po usadzeniu Filipa w radzie amfiktjonów i ubieganiu się o cudze względy z uszczerbkiem własnego dobra, stała się Grecja narzędziem w cudzém ręku, do obcych sobie celów. Pomimo, że Rzym urządził się w domu na wzór etruski, a ducha kształcił na dziełach greckich, nie stał się jednak obywatel jego ani etruskim ani greckim, ale pozostał civis Romanus, dopóki ożywiała go virtus Romana, ta idea narodowa, którą ożywiony, światu rozkazywał. Dopiéro gdy przyjął ślepo wszelkie obce zwyczaje i obyczaje, gdy wszelkie idee miały prawo obywatelstwa, a narodowa poszła w poniewierkę — wtedy ogólny powstał zamęt bez wyraźnego celu, który się skończył przetworzeniem państwa rzymskiego, ale już bez Rzymian, którzy znikli niepowrotnie. Pokazuje się, że korespondent nie przeczytał z uwagą „Ułomności" bo autor nigdzie nie żąda „chińskiéj oryginalności" owszém ubolewa nad tém, że wszystko złe przyjmujemy ślepo od obcych, ale w niczém prawie dobrém ich nie naśladujemy; nie staramy się korzystać z ich wynalazków i odkryć, w ogóle postępu. Ubolewa, że przez naśladowanie odwykamy od samodzielnéj pracy, prowadzeni jesteśmy na obcym pasku a przez to zacieramy znamię narodowe. Proszę korespondenta przeczytać sobie ustęp, gdzie jest mowa o pielgrzymkach paryskich, a pewno zmieni zdanie. Korespondent sam przyznaje „że nas zgubił brak energji w samodzielności, że nie zużywamy na dobre cośmy zinąd pochwycili, że od 9 wieków nie potrafiliśmy zużyć samodzielnie cywilizacji obcéj, — wszak autor „Ułomności" tego się tylko domaga! A daléj, w czém się ma okazywać ta samodzielność, jeżeli nie w pracy narodowéj? Niesłuszną więc jest rzeczą wydawać sąd fałszywy o dziele, które jest owocem długiego doświadczenia i pracy, które jest oparte na głębokiéj znajomości ducha narodowego i ujemnych stron jego, a tém niesłuszniéj, jeżeli korespondent nie starał się obznajomić nawet z głównemi myślami jego. Daléj dzieło to nie jest napisane dla publiczności akademickiéj, ale dla całéj publiczności polskiéj, nie chodzi tutaj o pojedyncze wyrażenia, ale o sprawę poruszoną, która dotąd zupełnie zaniedbaną była. Sprawa podniesiona jest nadzwyczajnéj doniosłości, bo autor wyśledza ułomności, które dotąd niepostrzeżone się gnieździły, podgryzały i toczyły sam rdzeń ducha narodowego. Powinnością jest przychodzić w pomoc tak wytrawnéj a zbawiennéj pracy, nie zaś widocznie, a bezmyślnie stawiać jéj zapory. Jak tylko dzieło to świat ujrzało a jużci korespondent fałszywie o niém publiczność uprzedza, tak że pomiędzy ukazaniem się „Ułomności" a drukowaną w Kraju recenzją, nie starczyłoby czasu do przeczytania, a cóż dopiero do sprawiedliwego osądzenia i zrozumienia nowo podniesionéj sprawy? Wszakże dotąd inne pisma nie pokwapiły się z recenzją, co jest dowodem, że nad sprawą tak głęboką i rozległą, bliżéj się zastanowić trzeba, aby wyjaśnić i rozszerzyć pojęcia, wskazać wszelkie możliwe środki do zapobieżenia złemu, miasto puszczać w świat sąd, któremu na wszelkiéj zbywa podstawie. *p.*

Skrzynka do listów.

Panu A. K. w Wągrówcu. Z przyjemnością przyjmujemy pańskie sprostowanie co do wyrazu „jedyny" w wiadomym ustępie. W każdym razie omyliliśmy się nie o wiele. Dzieła bowiem wymienione przez pana ustępują Raumerowi, pod względem znajomości naszych stosunków. — Epokę 1831 nazywając „wrogą", rozumieliśmy stanowisko rządów ówczesnych Europy. Słuszną jest uwaga pańska co do przemiany opinji ludów względem nas od 1831—1849. — Bliższe obrobienie tego przedmiotu przez człowieka tak sumiennego, jak Pan — przyjęlibyśmy z wdzięcznością.

Panu R... Z... w miejscu. Prosimy o ciąg dalszy.

Odpowiedzialny redaktor Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.